

—— Zbigniew Leśnicki ——
—— fotografie Krzysztof Strózik ——

KRAKÓW

*historie
anegdoty
i plotki*

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2015

Opieka redakcyjna Anna Pasięka-Blycharz
Redakcja Aleksandra Marczuk
Korekta Dariusz Godoś
Projekt okładki VIVID STUDIO
zdjęcie na okładce Narodowe Archiwum Cyfrowe
Łamanie Jacek Żaryczny

zdjęcia na str. 113, 115, 159, 163, 174, 186
Narodowe Archiwum Cyfrowe

ISBN 978-83-277-0174-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 KRAKÓW
tel.: 12 62 93 200 • faks: 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel.: 12 62 93 254-255 • faks: 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel.: 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks: 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Druk: Grafarti • Łódź

Od autora

Wybitny znawca królewskiego miasta Krakowa profesor Michał Rożek tak oto pisze w przedmowie do swojego *Przewodnika po zabytkach Krakowa*: „Dziedzictwo kultury zamknięte w murach Krakowa winno być największym naszym narodowym skarbem, przemawiając do każdego pokolenia tą niepowtarzalną treścią”. Pięknie powiedziane, nic dodać, nic ująć. Uroda starego miasta przemawia prawie do wszystkich, ale tak naprawdę ktoś z młodego pokolenia interesuje się historią krakowskich zabytków? Niestety nieliczni, i to najczęściej przy okazji próby zaimponowania przyjezdnym przyjaciółom oprowadzanym przez nich po mieście. Uprzednio zerkają do Internetu, by zdobyć nieco wiedzy o Wawelu, kościele Mariackim, no – może jeszcze coś o Sukiennicach.

Ale uzyskując jedynie wrywkową, połowiczną znajomość tematu, zdarza im się najeść wstydu, gdy o dziwo, wycieczkowicze zaopatrzeni w przewodniki wiedzą więcej. Dosyć jednak narzekania na dzisiejszą młodzież, tym bardziej „żem sam nie bez winy” – kiedy bowiem jako dwudziestoparolatek szedłem ongiś od Bramy Floriańskiej w stronę placu Matejki, trochę bezwiednie unosząc głowę nieco do góry, zobaczyłem po raz pierwszy okazałe rzeźby na budynku banku narodowego.

Wówczas nad mym zdziwieniem górowała jednak złość na siebie samego. Jakże to? Ja, krakowianin z urodzenia, setki już razy tędy przechodzący, nie zauważyłem tak

okazałych dzieł sztuki? I dalejże szukać informacji na ten temat! Gdy wreszcie doszukałem się (nie, nie, Internetu wtedy nie było!) wzmianki, iż rzeźby wykonane w kamieniu przez Karola Hukana przedstawiają alegorie Przemysłu i Rolnictwa, pocieszałem się, konstatuując: a cóż to za zabytki, które powstały zaledwie 10 lat przed moim urodzeniem? Zabytki czy też jeszcze nie zabytki, ale jednak dzieła sztuki upiększające moje kochane miasto i wypadało mi drążyć dalej, by dowiedzieć się czegoś więcej. A któż to zacz ów Karol Hukan? Doczytałem więc, że to znany krakowski rzeźbiarz, uczeń słynnego Laszczki, twórca dziesiątek rzeźb sakralnych w krakowskich kościołach. Ależ oczywiście, widziałem jego rzeźby w kilku ołtarzach kościoła oo. Jezuitów na Kopernika, tylko skąd mogłem wiedzieć, że te rzeźby stworzył Hukan? A kto projektował ten okazały gmach banku narodowego, na którego fasadzie widnieją wspomniane rzeźby? Aha, Teodor Hoffmann i Kazimierz Wyczyński, architekci, którzy zaprojektowali wiele krakowskich kamienic (choćby znane mi doskonale zabudowania Drukarni Narodowej na ul. Piłsudskiego i budynek, w którym mieścił się słynny lokal „Cygania” – *vis-à-vis* Teatru im. Juliusza Słowackiego).

I tak oto z wolna docierałem do coraz to nowych informacji o historii Krakowa i jego zabytków, by z czasem stać się pasjonatem tego tematu. Niedawno o mało nie obraził się na mnie znajomy, z którym chciałem umówić się na Rynku Głównym. Otóż ten pan, już po sześćdziesiątce, krakowianin z dziada pradziada, wykształcony, gdy zaproponowałem mu spotkanie pod pałacem „Krzysztofor”, z rozbijającą szczerością zapytał: „A gdzie to jest?”. Spokojnie więc przypominałem: „tam jest Muzeum Historyczne Miasta Krakowa...”. „Dobrze, dobrze – indagował mnie dalej znajomy – ale dokładnie gdzie to jest?”. „Człowieku – zacząłem się denerwować – przecież kiedyś

byliśmy tam razem na wystawie szopek krakowskich!” „Aaa, szopki krakowskie, wiem, wiem, gdzie to jest!” – ucieszył się znajomy. Ale i wśród młodzieży wiedza o naszym mieście przedstawia się podobnie. Kiedyś, gdy mojej uroczej wnuczce, dwudziestopięcioletniej krakowiance, osobie tzw. bywającej, już po krakowskich studiach, opowiadałem o zabawnym zdarzeniu, które dawno temu miało miejsce w słynnej kawiarni Noworolskiego, zapytała: „A gdzie jest ten słynny «Noworolski», czy nadal istnieje?”. Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz? Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że obecnie ta stylowa (i droga) kawiarnia nie należy do miejsc chętnie odwiedzanych przez młodzież, ale przecież znajduje się na Rynku, w Sukiennicach, i każdy – zdawałoby się – idąc od pomnika Mickiewicza w stronę Sukiennic, musi zauważyć pod ich arkadami kawiarnię ze stolikami na zewnątrz, nad wejściem do której z daleka widać wielki napis umieszczony na murze: 1910. J. NOWOROLSKI. Nieco skonfundowana, ale ambitna wnuczka niezwłocznie przeprowadziła sondaż wśród swoich przyjaciół i wnet okazało się, że z całej, dość licznej grupy zaledwie jeden młodzian był świadom, gdzie znajduje się wspomniana kawiarnia.

Czyżby więc dzisiejsza młodzież, poza oczywistym patrzeniem sobie nawzajem w oczy, spoglądała jedynie w ekrany swoich komórek? A może narzekanie na młodzież to domena starszych ludzi w każdej epoce, co wydaje się wielce prawdopodobne, gdy przywołamy *casus* z mojej młodości, kiedy przez całe lata nie zadałem sobie trudu, aby unieść głowę tylko trochę do góry i dostrzec okazałe rzeźby na attyce banku narodowego? Niemniej jednak szczególnie dzisiaj istnieje potrzeba zachęcania młodych krakowian, by zechcieli dostrzegać piękno i urodę swego miasta, a przy okazji zainteresować się jego historią. Wprawdzie „dla chcącego nic trudnego” – istnieje

przecież nad wyraz bogata literatura opiewająca historię i zabytki Krakowa, lecz z materiałów tych korzystają na ogół tylko ci, którzy muszą, i niezbyt liczna grupa miłośników historii miasta.

Podjąłem więc próbę dotarcia do szerszego grona czytelników poprzez ubarwienie swych merytorycznych artykułów opisujących historię miasta i jego zabytków szeregiem anegdot, zabawnych wydarzeń, ba – nawet plotek krążących ongiś po Krakowie.

Artykuły te drukowane w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Kraków”, wraz z wieloma jeszcze niepublikowanymi, postanowiłem obecnie wydać razem, w formie książkowej.

Na koniec chciałem podziękować żonie Marii za cierpliwość, przyjacielowi Adamowi Korpakowi za trafne uwagi oraz wnuczce Aleksandrze za życzliwą pomoc techniczną.

Zbigniew Leśnicki

PS. A wnuczka? Wnuczka z zainteresowaniem czyta te artykuły i podobno wcale się nie nudzi, czego też serdecznie życzę czytelnikom tej książki.

Rozdział 1

Jak i gdzie spędzali wolny czas krakowianie na przełomie XIX i XX w.?

Liczące wówczas około 85 tys. mieszkańców cesarsko-królewskie miasto Kraków było ciasnym grajdołkiem, przez złośliwych zwane „Krakówkiem”. Starodawny gród chlubiący się królewską nekropolią, największym w Europie Rynkiem, pięknymi Plantami i rekordową liczbą kościołów był w opłakanym stanie. Z większości zabytków sypały się tynki, w oknach królewskich komnat przerobionych na koszary zwisały suszące się kalessony austriackich frajtrów, a zapyziałe miasto ze wszech stron ograniczone fortami i rogatkami dusiło się w swej ciasnocie. Centrum było przeludnione, jako że każdy szanujący się krakauer chciał koniecznie mieszkać w obrębie Plant, by nie narazić się na docinki, że pochodzi ze wsi. Były to bowiem czasy, kiedy osoba mieszkająca przy końcu ul. Karmelickiej, wybierając się z jakąś sprawą na ul. Grodzką czy Floriańską, komunikowała, że... idzie do miasta.

W mieście natomiast pełniła się niczym perz wszechobecna tytułomania. Po linii A-B w Rynku Głównym nie przechadzali się jacyś tam zwykli ludzie, albowiem każdy z nich był panem radcą, starszym radcą, mecenasem, profesorem, doktorem, dziedzicem, prezesem lub co najmniej koncypientem, nie mówiąc już o licznych baronach, hrabiach czy nawet książętach – tak więc

ktokolwiek nie zwracałby się do kogokolwiek, nie mógł zaniedbać obdarzenia go należnym tytułem. Stąd też profesor, spotykając jakiegoś radcę, uchylał kapelusza i witał go uprzejmie, mówiąc: „Uniżony sługa pana radcy”, na co radca odpowiadał: „Moje uszanowanie dla pana profesora”. Natomiast paniom panowie okazywali rewerencje, mówiąc: „Całuję rączki pani doktorowej” lub: „Padam do nóżek pani radczyni”. Pomysłowość w wynajdywaniu tytułów w Galicji doprowadzono do absurdu, tworząc tak dziwaczne stanowiska, jak „tymczasowy promowany zastępca koncypienta” czy też „nadetatowy niepromowany zastępca pomocnika palacza”. Nawet o wdowach nie wypadało się wyrażać inaczej niż np. „wdowa po urzędniku trzeciej rangi” (których to rang było aż osiem!) lub co najmniej „wdowa po kolekcjonerze pism ilustrowanych”. Austriacka nomenklatura służbowa przetrwała aż do końca I wojny światowej i choć niektórych bawiła, to jednak wśród większości krakauerów budziła prawdziwy respekt. Całe to zacne „towarzystwo wzajemnej adoracji”



Rynek Główny, najpopularniejszy trakt spacerowy

wczesnym popołudniem pojawiała się na spacerze na linii A–B, a po niedzielnej mszy, tzw. dwunastówce w kościele NMP, spacerowało tam obowiązkowo i w komplecie. Północna część Rynku, prowadząca od kościoła Mariackiego do słynnego przybytku kulinarnych rozkoszy, czyli do restauracji „Hawełka”, stanowiła najbardziej uczęszczany fragment miasta, popularne miejsce spacerów, spotkań i krótkiej wymiany zdań. Ot, taka krakowska agora. Ten fragment Rynku był też swoistym „wybiegiem modelek”, ponieważ panie powracające z wojażu do Paryża przywoziły stamtąd najmodniejsze kreacje i z upodobaniem prezentowały je potem na linii A–B. I słusznie, niech inne popękają z zazdrości! Jednak takie próby zabłyśnięcia w nobliwym Krakowie często narażały je na wiele uszczypliwości, a nawet bezpardonową krytykę. Gdy jedna z krakowskich aktorek po powrocie z francuskiej stolicy pojawiła się na linii A–B w krótkiej do pół łydki sukni, spod której wystawały sięgające kostek szarawary, została okrzyknięta ladaczną, która bezczelnie ośmieliła się pokazać w takim „bezecństwie”. Kiedy żona popularnego malarza Wojciecha Kossaka pojawiła się na A–B w modnym kapeluszu przysłanym przez męża wprost z Paryża, krakowski „Czas” aż zachłystywał się złośliwościami: „Pani Maria Wojciechowa Kossakowa dała się nam dzisiaj oglądać w kapeluszu bez kształtu i sensu. Z przodu był zielony, z tyłu fioletowy. Aksamitny. Suto piórkami, kwiatami i tiulem przybrany. Przerażenie ogarnia, że człowiek będzie zmuszony taką szkaradę nosić na głowie, bo skoro Kossakowa w czymś takim się pokazuje, to znaczy że w Paryżu jest to noszone. TRZEBA więc takie COŚ włożyć na głowę”.

Linie A–B niektórzy panowie zwali „cielętnikiem”, jako że w godzinach południowych paradowało tam wiele młodych panienek (oczywiście w towarzystwie matek



Rynek Główny, linia A-B

lub co najmniej przyzwoitek) zdążających do cukierni „Maurizia” (dawniej „Redolfi”) na pyszne lody lub ciastka. Późnym popołudniem po Rynku lubili też spacerować austriaccy oficerowie, niezbyt lubiani przez krakowian. W paradnych mundurach, wysokich czakach i z dyn-dającą szablą chodzili wyprostowani, sztywni, jakby kij połknęli. Długo w Krakowie opowiadano o niewybrednej siurpryzie, jaką jednemu z nich spletały na linii A–B dwa krakowskie andrusy. Kroczącego dumnie lejtnanta niespodziewanie zaszyły od tyłu i gdy jeden z wyrostków mocno chwycił go za ręce, drugi z całej siły wbił mu aż na oczy jego własne, wysokie i sztywne czako. Zanim nieszczęśnik zdołał uwolnić głowę i przejrzeć na oczy, andrusy zdążyły solidnie i po wielokroć skopać go po tyłku. Po chwili nie było po nich śladu, a przechodnie obserwujący z bezpiecznej odległości całe to zdarzenie dyskretnie odwrócili głowy, udając, że nic nie widzieli. Tu wypada dodać, że był to raczej wypadek odosobniony, ponieważ słynne krakowskie andrusy, zwane też antkami, na ogół nie wdawały się w bijatyki, a to zdarzenie można potraktować jako swoisty „czyn patriotyczny”.

Krakowskie andrusy stanowiły oryginalny koloryt miasta, swoiście krakowski. Wszyscy piszący wspomnienia z tego okresu o nich wzmiankują, ale najlepiej bodaj scharakteryzował to zjawisko Marian Turski w *Kopcu wspomnień*: „Coś z gawrosza podlanego bardzo polskim sosem”. Sława ich sięgała daleko. Nawet Baedeker poświęcił im w przewodniku po środkowej Europie dłuższy ustęp. Pochodzili z przedmieść Krakowa: z Dębnik, Łobzowa, Krowodrzy, ale najlepiej czuli się na bruku Rynku i sąsiednich ulic. Trochę zebrali, jednak bez nachalstwa. Mieli swoje interesy: gołębiarstwo, hodowle królików, rybołówstwo i drobne usługi świadczone na dworcach, przy hotelach i sklepach. Charakteryzowała ich specyficzna

godność, byli uczciwi (nie kradli), w miarę uprzejmi, ale przede wszystkim dowcipni. O tym dowcipie rozwdził się Baedeker. „Kiedyś wracałem nocą przez Rynek i zaczepił mnie mały, może ośmioletni pędrak. Na moją uwagę, dlaczego pęta się w nocy po mieście, odpowiedział bez zająknienia: «Dobrze panu mówić, ale moja żona właśnie rodzi i nie mam na akuszerkę»”.

Od strony zachodniej Kraków był ograniczony forticznym wałem (dzisiejsze Aleje Trzech Wieszców), po którym pędziły pociągi kolei obwodowej, prowadzącej z Łobzowa, przez most Dębnicki, aż do Płaszowa. Po drugiej stronie wału nie było żadnych zabudowań i jak okiem sięgnąć rozciągały się Błonia wraz z przecinającą je Rudawą. A Rudawa, wpadająca wówczas do Wisły tuż za mostem Dębnickim, prawie co roku zalewała sporą część miasta. W czasie roztopów spiętrzone fale Wisły nie były w stanie przyjąć wód Rudawy, która cofając się, zalewała całe Błonia, ul. Wolską (dziś Piłsudskiego), Retoryka, Wenecję i część ul. Smoleńsk. Gdy nadchodziły „wody górskie”, zdarzało się, że wylewała i Wisła, i wówczas, ku uciesze dzieci, pływano łódkami przez całą ul. Zwierzyniecką, aż do uniwersytetu. Ale gdy tylko wody opadały, a łąki podeschły, całe rodziny krakowian wychodziły w soboty i niedziele na zieloną trawę Błoń, by leniwie wylegiwać się na słończku. Na trawie rozpościerali koce, leżeli, jedli, pili, śmiecili, a nawet i tańczyli, bowiem niektórzy przynosili nakręcaną korbą gramofon z wielką tubą i po Błoniach roznosił się dźwięk skocznych walczyków ze znanych operetek. Słowem piknik, nieustająca majówka, i to w odległości zaledwie kilkuset metrów od Rynku Głównego. Sielankę zakłócały jedynie... krowy, których całe stada ciągnęły ze Zwierzynca ul. Krowią (później została nobilitowana przez nadanie jej nazwy Senatorska) i piknikujący musieli

uważać na liczne plastry krowieńca. Same tylko siostry norbertanki miały około 150 krów, a wieczyste prawo do wypasu na Błoniach mieszkańcy Zwierzyńca otrzymali królewskim przywilejem już dawno i gremialnie z tego korzystali.

W upalne dni krakowianie chętnie kąpali się w Wiśle. W rzeczywistości na plaży od strony Dębnik kąpeli zażywali jedynie mężczyźni, jako że kobiety, którym ówczesny obyczaj nakazywał staranne ukrywanie swych wdzięków, mogły jedynie „taplać się” na kąpielisku usytuowanym na Groblach, u wylotu ul. Retoryka. Na przycumowanych do brzegu galarach ustawione były drewniane przebieralnie, z których panie schodziły po pomoście wprost do zanurzonych w rzece wiklinowych kojców, ubrane w długie koszule kąpielowe, które obficie bąbelkując, nadymały się niczym balony. Wyglądało to zabawnie, tym bardziej że panie, zanurzając się w wodzie, wydawały szereg piśkliwych „achów” i „ochów”.

Wraz z początkiem XX w. pojawiła się w Krakowie całkiem nowa moda, która spowodowała, że zgnuśniałe miasto nagle nabrało życia. A była to rozprzestrzeniająca się niczym epidemia moda na grę w piłkę nożną, zwaną futbolem. Wnet całe Błonia stały się kompleksem „boisk piłkarskich”, gdzie bramki oznaczano czapkami, piłką były zwykle „szmacianki”, a posiadacz skórzanej futbolówki od razu zyskiwał nowych przyjaciół. A piłkę kopali wszyscy: młodzież szkolna, akademicy, młodzi lekarze, adwokaci, nauczyciele, wojskowi. Ponieważ nikt nie znał dobrze przepisów tej nowej gry, więc i sędziowie nie byli potrzebni – kopanie się po kostkach i wzajemne przewracanie było na porządku dziennym, a okazało się tym bardziej nieprzyjemne, że grano w szkolnych mundurkach lub wyjściowych ubraniach, w lakierkach na nogach i w czapkach na głowach. Bardziej zorganizowane



Bulwary wiślane

drużyny szkolne grywały na siedmiu niewielkich boiskach zlokalizowanych w parku Jordana. Starsi nauczyciele narzekali, że to ordynarna i prymitywna zabawa, a gdy jeszcze zorientowali się, że gra się nie tylko nogami, ale także odbija piłkę głową, ostrzegali, że „uprawianie futbolu może zahamować rozwój umysłowy”. Ale kto by ich słuchał?

Po kilku latach radosnej, choć dość bezładnej kopaniny zorganizowano pierwsze kluby piłkarskie: Wisłę i Cracovię (1906) oraz powołano sędziego, początkowo określanego jako „pan z gwizdkiem”. Drużyny te, oprócz zaciętych bojów toczonych między sobą, rozgrywały mecze z lwowskimi Czarnymi i Pogonią. W pierwszej drużynie Cracovii, nim ta dochowała się własnych mistrzów, grało wielu zawodników „zagranicznych”: trzech Niemców (np. Ryszard Singer, odbywający w Krakowie służbę wojskową), czeski skrzydłowy Karol Just oraz nauczyciel języka angielskiego William Calder, którego każdorazowe pojawienie się na boisku powodowało okrzyki podziwu: „Zobacz, Anglik! Prawdziwy Anglik!”

Dużą popularność w mieście zyskał pierwszy bramkarz Cracovii Józef Lustgarten, i to nie tylko dzięki swym umiejętnościom piłkarskim, lecz także z powodu niezwykłej odwagi cywilnej. Był on pierwszym człowiekiem, który ośmielił się pokazać na boisku z odkrytymi kolanami, co w Krakowie uważano za bezwstydne i niemoralne. Lustgarten po prostu obciął nogawki u spodni powyżej kolan. Wnet moda na obcinanie nogawek ogarnęła nie tylko zawodników, ale za ich przykładem poszli wszyscy uczniowie grający w piłkę na Błoniach. Mecze piłkarskie na ogół odbywały się w sportowej atmosferze, ale okrzyki: „sędzia kalosz” już wtedy były powszechne. Choć nie było jeszcze zwyczaju wyrażania swego przywiązania do ulubionego klubu napisami na płotach i murach, to jednak

już wtedy kolportowano mniej lub bardziej wybredne wierszyki. I tak na przykład po wygranej z Cracovią kibice Wisły powtarzali: „Krakowija – kawał kija. / Pies zdechł – leży niech!”. Pomiedzy kibicami nie dochodziło wtedy do bójek, natomiast zdarzały się sytuacje, gdy rozjątrzeni kiepską grą swych pupilów wpadali na boisko, aby im „ręcznie wytłumaczyć”, co sądzą o ich grze. Poważniejsze bójkę zdarzały się na boisku przy ulicach Koletek i Dietla, gdzie grały drużyny żydowskie: Makkabi i Jutrzenka, z których pierwsza skupiała syjonistów, druga ortodoksów. Derby rozgrywane między tymi drużynami stanowiły nie mniejszą atrakcję niż rozgrywki pomiędzy Wisłą a Cracovią, choć skład publiczności był oczywiście inny (Żydzi stanowili wtedy około 25 procent mieszkańców Krakowa). Wnet coraz to nowe drużyny wyrastały niczym grzyby po deszczu: Juvenia, Olsza, Zwierzyniecki, Garbarnia itd. Nawet lotnicy z lotniska w Rakowicach założyli klub Lotnik, który w inauguracyjnym meczu przegrał z Cracovią trzydzieści do zera. Na szczęście ich umiejętności awiacyjne były znacznie lepsze niż znajomość piłkarskiego rzemiosła.

Uprawianie sportu przez młodych krakowian nie kończyło się w tamtych latach na piłce nożnej, ponieważ oprócz ćwiczeń gimnastycznych preferowanych przez popularne Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” czas nierzadko wypełniała gra w tenisa i wyścigi na rowerach (początkowo na bicyklach). O ówczesnej popularności tenisa świadczyć może choćby tylko sama liczba kortów tenisowych, których w 85-tysięcznym Krakowie było znacznie więcej niż obecnie.

Arystokratyczny high life także miał okazję do spotkania na świeżym powietrzu i prezentacji wystawnych toalet. Założone w 1890 r. przez trzech księżąt i kilkunastu hrabiów Towarzystwo Międzynarodowe Wyścigów Konnych

w Krakowie każdego roku organizowało trzydniowe wyścigi konne na nowoczesnym torze usytuowanym za parkiem Jordana, z trybuną zbudowaną w okolicy dzisiejszego Cichego Kącika. Uwieszeni na konarach pobliskich drzew okoliczni mieszkańcy, których nie było stać na zakupienie biletów wstępu (nawet gdyby wyskrobali jakiś grosz, i tak nie wpuszczono by ich tam ze względu na brak odpowiedniego stroju), przyglądali się zawodom. Zorganizowano na tę specjalną okazję „szybki pociąg” z Wiednia, który dojeżdżał do Krakowa w niespełna 8 godzin i dowoził na zawody bogatych turystów zagranicznych.

Trzeciego dnia, na zakończenie wyścigów, organizowano wielce snobistyczną imprezę, tzw. corso kwiatowe. Była to wielka parada otwartych powozów, w których prezentowali się utytułowani panowie przybyli z całej Galicji, przyodziani we fraki, białe rękawiczki i wysokie, popielate cylindry, oraz panie w olbrzymich kapeluszach upstrzonych kwiatami i piórami, białymi woalkami i obficie obwieszone biżuterią rodzinną. Parada zaczynała się na ul. Rajskiej, a kończyła pod kościołem Mariackim. W czasie mijania się powozów panny rzucały w młodych hrabiczów kwiatami, stąd nazwa: „corso kwiatowe”. Wraz z wybuchem I wojny światowej wierzchove konie objęła mobilizacja i trafiły one na front, a jeśli nawet jakiś ostał się w Krakowie, to w czasie wojennych niedostatków posłużył za pożywienie i tor wyścigowy zakończył swój żywot.

Spis treści

Od autora	5
Rozdział 1	
Jak i gdzie spędzali wolny czas krakowianie na przełomie XIX i XX w.?	9
Rozdział 2	
O wielkim parku Krakowskim i jego atrakcjach	31
Rozdział 3	
Te śmieszne pierwsze krakowskie tramwaje	39
Rozdział 4	
Perypetie Melpomeny na placu Świętego Ducha	47
Rozdział 5	
Czy znasz w Krakowie takie miejsca, w których to „po trupach chodzić będziesz”?	79
Rozdział 6	
O wawelskich urządzeniach sanitarnych, które Henryka Walezego wprowadziły w konsternację	93
Rozdział 7	
Dlaczego ulica Mikołajska jest taka krzywa?	101
Rozdział 8	
„Ot, bagatela!” – mruknął Boy-Żeleński i tak powstała nazwa jednego z krakowskich teatrów	111
Rozdział 9	
Najstarsze krakowskie kawiarnie	119
Rozdział 10	
Kiedy to Polacy kłąć się nauczyli?	147

Rozdział 11	
Peregrynacja słynnego obrazu Jana Matejki <i>Batory pod Pszkowem</i>	155
Rozdział 12	
Xawery Dunikowski – słynny krakowski ekscentryk	163
Rozdział 13	
Najstarsze krakowskie restauracje	169
Rozdział 14	
Kazimierz Wielki, najbardziej kochliwy król Polski	201
Rozdział 15	
Kościół św. Katarzyny, po wielekroć cudem ocalony	213
Rozdział 16	
Sześćdziesiąt pięć lat kawiarni „Rio” (2012)	221
Rozdział 17	
Zadziwiająco bogate i dramatyczne losy miejsca położonego przy ul. św. Jana 6 (później kino „Sztuka”)	229
Rozdział 18	
Najstarsze krakowskie pomniki	239
Rozdział 19	
Gdzie w Krakowie straszy?	271
Rozdział 20	
Pomnik Adama Mickiewicza na krakowskim Rynku	289
Rozdział 21	
O zawikłanych losach pałacu „Krzysztofora”	317
Bibliografia	347